

Aleksander Klemp

Marzec 1968 roku – wspomnienia po 40 latach

Acta Cassubiana 10, 216-220

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Aleksander Klemp

Marzec 1968 roku – wspomnienia po 40 latach

Niepokoje studenckie w Warszawie, a właściwie otwarty bunt na Uniwersytecie Warszawskim na początku marca 1968 roku, nie były dla nas zaskoczeniem. Piszę w liczbie mnogiej, gdyż na przełomie lat 1967–1968 zapewne tysiące mieszkańców Wybrzeża spędzało całe wieczory z uszami przy radioodbiornikach i słuchało najnowszych wiadomości z Warszawy, przekazywanych przez Rozgłośnie Polską Radia Wolnej Europy w Monachium (!). Bardziej interesujący się polityką doskonale wiedzieli, kim byli Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, komandosi, a następnie najaktywniejsi działacze studenckiej opozycji. Najbardziej zapamiętałem nazwiska Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Czy w „Trybunie Ludu” i ówczesnej prasie regionalnej pisano o niepokojach wywołanych przez „bananową” młodzież studencką, synów i córki dawnych dygnitarzy stalinowskich, o zgrozo przeważnie żydowskiego pochodzenia, tego już dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że jakieś lakoniczne wzmianki na ten temat były oficjalnie publikowane.

My jednak wiedzieliśmy swoje i w dużym stopniu byliśmy zupełnie nieprzemakalni na potoki słów partyjno-państwowej propagandy. Studiowałem wtedy na pierwszym roku historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. Siedziba naszej uczelni przy ulicy Sobieskiego znajdowała się w pobliżu kompleksu budynków Politechniki Gdańskiej, często więc, udając się rano na zajęcia, przechodziłem obok nich. Pamiętam rankiem 11 lub 12 marca na jednej ze ścian budynku któregoś z wydziałów Politechniki zauważyłem ogromny, czarny napis: „Warszawa czeka!”. Po moich plecach przeszedł silny dreszcz wzruszenia. Poczułem ogromną solidarność z warszawskimi studentami. Głośno mówiło się wówczas o wrzeniach i demonstracjach studentów we Wrocławiu i Poznaniu.

Tymczasem na kameralnej raczej WSP panował zupełny spokój, tym bardziej że historia była jeszcze dodatkowo izolowana, gdyż nasze zajęcia odbywały się przeważnie w pawilonach wolno stojących po drugiej stronie ulicy Sobieskiego. Pamiętam jednak jedno zdarzenie na mrocznym poddaszu starego budynku, gdzie

odbywały się lektoraty języków rosyjskiego i łacińskiego. Chyba 12 marca ze zdumieniem zobaczyłem swojego kolegę Ryśka Pacholę, ps. Mao, jak rozwieszał ulotki wzywające do solidarności ze studentami warszawskimi. Byłem zdumiony, gdyż Rysiek uchodził za zdeklarowanego zwolennika chińskiego przywódcy Mao, nosił nawet z dumą w klapie znaczek z jego podobizną. Nie wdawałem się jednak w dyskusję z Ryśkiem, choć uważałem, że poglądy Mao i jego zwolenników są zupełnie sprzeczne z wolnościowymi dążeniami polskich studentów, lecz spontanicznie stanąłem na czatach, aby ubezpieczać kolegę przyklejającego ulotki. Rysiu, niestety, wyleciał już po pierwszym roku, ale chyba nie z powodów politycznych, lecz kłopotów z językiem rosyjskim.

Tego samego dnia, kiedy na murach Politechniki pojawiły się solidarnościowe napisy, udałem się wraz z Tomkiem Wołkiem na wiec pod Politechniką Gdańską.

Z tego co pamiętam, w wiecu uczestniczyli także inni przyjaciele i koledzy z roku: Janusz Kieszkowski, Grzegorz Garczyński i chyba Roman Bielak. Przede wszystkim jednak zauważyłem ogromną liczbę studentów Politechniki, którzy wypełnili dziedziniec uczelni i wszystkie przyległe uliczki. Zdążyliśmy na przemówienie pierwszego sekretarza KW w Gdańsku, Stanisława Kociołka. Mówca coś wykrzykiwał do mikrofonu, ale docierały do mnie tylko pojedyncze zdania, gdyż falujący hałas zbudowany z setek, a może tysięcy okrzyków wzburzonych kolegów zniekształcał jego głos. W pewnym momencie hałas lekko ucichł i usłyszeliśmy wyraźnie kilka zdań z przemówienia tow. Kociołka, który zapewniał, iż partia nie pozwoli zerwać sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Albo powiedział coś podobnego. W każdym razie wywołał tym jeszcze większe emocje i zdziwienie demonstrantów – „A cóż Związek Radziecki ma do naszych postulatów?”. Dlatego w odpowiedzi na słowa towarzysza sekretarza wzmogły się tylko głośnie protesty, a zwłaszcza przeraźliwe gwizdy. Były tak głośnie, że jeszcze długo towarzyszyły nam w drodze na WSP. A może szliśmy już na Aleję Zwycięstwa... Gwizdy na Politechnice słyszę jeszcze do dziś.

Kiedy udaliśmy się już na Aleję Zwycięstwa, po drugiej stronie na wysokości Filharmonii zauważyliśmy duży samochód, z którego wysypali się zagniewani, starzy krasnale z ogorzałymi twarzami w zielonych czy niebieskich beretach. Tak ich wówczas odebrałem. Ktoś wyjaśnił mi, że to są ormowcy, którzy – jak się domyślaliśmy – przygotowują się do rozpędzania studentów. Przyznam się, iż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ci przedstawiciele aktywu robotniczego w sposób zorganizowany uczestniczą również w tego typu akcjach. A przecież moim brygadzystą w Stoczni im. Komuny Paryskiej, w której pracowałem przed studiami, był również członek ORMÓ. Mieliśmy jednak dość mgliste pojęcie o tym, co się dzieje w Warszawie. Pod Filharmonią, a może jeszcze na Sobieskiego, dowiedzieliśmy się, że w Gdańsku przebywa minister spraw zagranicznych Adam Rapacki, który sprzyja studentom i jest przeciwny tej całej antysemitkiej nagonce, prowadzonej przez władze. Podobno wieczorem będzie w „Żaku” i być może przemówi

do studentów. Tego typu opowieści przyjąłem bardzo sceptycznie i nie zamierzałem uczestniczyć w wieczornym wiecu. Może obawiałem się też zamieszek – już dokładnie nie pamiętam. W demonstracji w centrum Gdańska uczestniczyli również studenci WSP, a nasz kolega z roku Franek Brylowski został nawet spalowany. Gdańska manifestacja solidarności z Warszawą odbyła się m.in. pod Domem Prasy. Wówczas to jako jedno z głównych haseł ulicznej opozycji pojawił się okrzyk „Prasa kłamie!”. Hasło te powtórzono dwa lata później w grudniu 1970 roku.

Warto przypomnieć również, jak w marcu 1968 roku zachowali się pracownicy naukowcy, którzy mieli z nami zajęcia. Być może większość sympatyzowała z hasłami wolności słowa i autonomii wyższych uczelni, ale tego nie okazywała.

Zareagowali natomiast pracownicy pionu partyjnego i Instytutu Nauk Politycznych. Wtedy po raz pierwszy bliżej poznałem sekretarza partyjnego Wydziału Humanistycznego, doktora Bogusława Cyglera, który niespodziewanie przybył do nas na zajęcia w pawilonie prawdopodobnie 13 lub 14 marca. Towarzyszył mu jakiś magister, też działacz partyjny. Sekretarz C. w dość dosadny sposób przestrzegał nas przed uczestnictwem w nielegalnych demonstracjach. Jego zdaniem odpowiednie służby mogą nas po prostu spalać. Trzeba przyznać, że dr Bogusław C. raczej unikał rzucania epitetów na „prowodyrów” tego typu zajęć, ale jego wystąpienie – choć powodowane troską o studentów – zostało przez nas źle przyjęte. Nikt się jednak nie odezwał.

Natomiast bardziej burzliwie przebiegało spotkanie z mgr. Andrzejem Sobocińskim, pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych, który prowadził z nami zajęcia z przedmiotu „Ustrój polityczny PRL na tle porównawczym”. Bardzo lubiliśmy – przynajmniej znaczna część koleżanek i kolegów z roku – zajęcia (ćwiczenia i wykłady) z Panem Magistrem, gdyż prowadził je niebanalnie, z dużym temperamentem. Odkrywał przed nami skomplikowane dzieje początków władzy ludowej w powojennej Polsce i uczył analizy źródeł historycznych. Dlatego tak bardzo rozczarowało nas marcowe spotkanie z mgr. Sobocińskim. Zamiast rzeczowej, subtelnej analizy wysłuchaliśmy wielu propagandowych frazesów o prowodyrach zajęć w Warszawie. Niestety, język ten doskonale znaliśmy z oficjalnej prasy i telewizji. Niektórzy koledzy próbowali dyskutować z naszym wykładowcą, wywołało to jednak tylko jego zdenerwowanie. Inni wykładowcy raczej nie wypowiadali się na ten temat.

Pokłósiem Marca była postawa naszego roku pod koniec maja 1969 r. na egzaminie z „Podstaw nauk politycznych”. Naszym egzaminatorem był doc. Roman Wapiński (profesorów w Instytucie czy jeszcze w Katedrze Historii wówczas nie było). W trakcie egzaminowania docent wyszedł jakiś zamyślony i chyba wzburzony, a w kierunku naszej grupy, kibicującej pod drzwiami, rzucił krótkie zdanie, które dosłownie już nie przytoczę, ale chodziło o to, że podobnie jak przed rokiem, w marcu 1968 r. zawiodło nas polityczne myślenie. Co to miało oznaczać, nie wiem, ale moje spotkanie z doc. R. Wapińskim na egzaminie z „Podstaw nauk

politycznych” wspominam bardzo pozytywnie. Pamiętam, że referując jakiś temat, przeszedłem swobodnie do rozważań na tematy aktualne. Do takich refleksji zachęcił mnie sam egzaminator pytaniem: A co pan myśli na ten temat?

Zastanawiając się nad konfliktem władzy z jednym środowiskiem w 1968 r., snułem prognozy dalszych niepokojów społecznych w najbliższym czasie, chyba także z udziałem klasy robotniczej. Jednak zakończenie tych konfliktów widziałem dość mglisto. Docent Wapiński słuchał mnie uważnie, nawet jakby potakiwał, a później bez słowa postawił w indeksie piątkę.

* * *

Dla niektórych pracowników Wyższej Szkoły Pedagogicznej Marzec zakończył się bardzo smutno. Za żydowskie pochodzenie wyrzucono z pracy komendanta Studium Wojskowego, pułkownika Adama Goligera i podobno także Żyda pedagoga, profesora Ludwika Bandurę. Płk A. Goliger był świetnym organizatorem. Za jego czasów budynek Studium lśnił czystością i czuło się rękę dobrego gospodarza. Z kolei profesor L. Bandura należał do nielicznego wówczas grona profesorów w naszej uczelni, a jego dorobek naukowy był wysoko ceniony w całym kraju. Natomiast za rewizjonizm i chyba także za semickie pochodzenie wyrzucono z partii i pracy pewną panią zatrudnioną na pedagogice, a może psychologii.

Wkrótce poznaliśmy w praktyce także termin „docent marcowy”. Stopień ten, a właściwie urzędowy tytuł otrzymali także niektórzy doktorzy w naszym Instytucie Historii. Któregoś dnia na drzwiach pokoju, w którym pracował dr Bogusław Cygler, pojawił się napis „docent marcowy”, z pewnością autorstwa któregoś z moich kolegów. Przyglądałem się temu napisowi ze zgrozą, gdyż mimo moich rewizjonistycznych poglądów byłem bardzo praworządny. Napis szybko zlikwidowano, a niebawem dr Cygler obronił pracę habilitacyjną o Joachimie Lelewelu.

Chociaż o Marcu niewiele rozmawialiśmy, jednak stale pamiętaliśmy o prześladowaniu w 1968 r. niepokornych studentów. Niektórzy koledzy długo jeszcze nosili na znak solidarności białe czapki studenckie. Najdłużej nosili je, jeśli dobrze pamiętam, Grzegorz Garczyński i kolega ze starszego rocznika Józef Borzyszkowski.

Szczególnie zaimponował mi wówczas Józek Borzyszkowski, który w białej, studenckiej czapce pojawił się (w 1969 lub na początku 1970 roku) na sesji naukowej poświęconej wyzwoleniu obozu Stutthof. Kiedy profesor Krzysztof Dunin-Wąsowicz w sposób dość nonszalancki (moim zdaniem) wyrażał się o studenckim referacie, Józek w bardzo ekspresyjnej replice domagał się większego szacunku dla pracy studentów. Biała czapka fantazyjnie przykrzywiła się na jego głowie, a Józek bez przerwy niecierpliwie ją poprawiał.

Postawa starszego kolegi wzmogła wtedy moje zainteresowanie sprawami kaszubsko-pomorskimi. Pomyślałem wówczas: „Jeśli tacy odważni i zadziorni są

wszyscy Kaszubi, to może warto wstąpić do »Pomorani« lub ZK-P». Niestety, wówczas jakoś zabrakło mi śmiałości, chociaż z szacunkiem obserwowałem, jak Klub Studentów „Pomorania” prowadził swą pracę organiczną. Po Marcu 68 roku inne organizacje studenckie na Uniwersytecie Gdańskim, poza kołami naukowymi, powoli zamierały.

Z sympatią, choć z daleka obserwowałem również działalność Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Szczególnie dobrze zapamiętałem postać znanego literata gdańskiego Lecha Bądkowskiego, który publicznie stanął w obronie studenckiej samorządności. Uważałem go wtedy za przywódcę Zrzeszenia. Chyba już pod koniec lat sześćdziesiątych lub na początku siedemdziesiątych wiedziałem też o proteście kierowniczki literackiej teatru „Wybrzeże”, przedwcześnie zmarłej Róży Ostrowskiej. Teatr „Wybrzeże” należał m.in. dzięki Pani Róży, (matce mojej szkolnej koleżanki Eli) do najciekawszych teatrów w Polsce.

Do ZK-P wstąpiłem dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. W ponurych latach po wprowadzeniu stanu wojennego na zrzeszeniowych imprezach poznałem kilku wybrzeżowych aktorów i literatów, którzy zachowali się bardzo przyzwoicie w Marcu 1968 roku, jak również w okresie późniejszym.

Przed wszystkim jednak w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, obok osób z ogromną pasją pracujących na Kaszubach na rzecz naszej małej Ojczyzny, spotkałem kilku przywódców naszego ruchu, którzy swą aktywną działalność rozpoczęli właśnie pod koniec lat sześćdziesiątych. Dla nich Marzec 68 był szczególnie ważnym wydarzeniem. Ponieważ o Józku Borzyszkowskim już pisałem, wspomnę jeszcze o kilku innych znanych działaczach Zrzeszenia.

W Marcu 68 godnie zachował się przyszły wieloletni sekretarz generalny i wiceprezes Zrzeszenia Tadeusz Gleinert. Studiował wówczas chyba matematykę i publicznie odważnie bronił prześladowaną przez złych ludzi m.in. za semickie pochodzenie doc. dr Irenę Szumilewicz. Z kolei na Politechnice Gdańskiej bardzo aktywnie w obronie praw studenckich wystąpili Kaszubi: Jan Wyrowiński, przyszły prezes Zrzeszenia, a także działacz polityczny oraz Edmund Wittbrodt, w latach późniejszych znany naukowiec i kandydat na prezesa ZK-P.

Już na swoim skromnym przykładzie widzę, jak ważnym momentem w życiu dla wielu osób z mego pokolenia był Marzec 68. Kilka dni, wydawałoby się bezsilnego oporu wobec władzy, która brutalnie zniszczyła resztki studenckiej autonomii, chyba jeszcze bardziej uświadomiło nam wagę i potrzebę społecznego działania bez ingerencji urzędniczego aparatu państwa. Taką możliwość otrzymaliśmy wówczas tylko w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim.